Konto czekowe P. K. O. 408.160. Cena numeru 25 gr.
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.



Rok V. Nowy Sącz, dnia 1 marca 1931. Nr. 4.

MATURA IDZIE...

Szybkiemi krokami, a nawet wprost szalonemi skokami kroczy ku nam ta okrutna hydra maturalna, która nas już zwolna zaczyna gnębić. Niemal wszystkie Muzy sprzysięgły się przeciw nam, dręcząc nas swemi odnośnemi działami wiedzy, a jedynie Terpsychora ominęła nas pokryjomu.

„Zielony stolik", do którego się wzdycha niemal od pierwszych dni w gimnazjum, wydaje się teraz być krzesłem elektrycznem i niejednemu z nas włosy na głowie stają na jego wspomnienie.

Ha! trudno! Mojra nas tam popycha, więc trzeba iść śmiało, z nieugiętym hartem ducha, siłą woli i z dorobkiem intellektualnym pracy ośmioletniej.

Zbierzmy ów dorobek i zgłębmy go jeszcze, aby, gdy go w dniu matury rzucimy na wagę, stanowczo swym ciężarem przechylił szalę na naszą korzyść! Wyszlifujmy go dłutem Fidjasza, aby jak cudny brylant lśnił na „zielonym stoliku"!

Wielką nadzieję pokłada w nas Naród — wiele spodziewa się społeczeństwo. Nie zawiedźmy więc tych nadziei, aby nam z czystem sercem, ze spokojem i z całą pewnością, że nam się to należy, dało Społeczeństwo tę najwyższą nagrodę — patent dojrzałości i abyśmy sami sobie mogli powiedzieć bez rumieńców na twarzy:

„Viri maturi sumus!"

Sens życia.

Przelała się czara nienawiści i z mroków dziejowych wychyliła swą trupią głowę Wojna światowa. Rozkołysała dzwony huczące zgrzytem bezprawia; rozszczepiła i pogrzebała ideę Dobra i Pokoju, a na tronie Wszechświata ustanowiła potężne prawo — prawo pięści. Zapadły się w gruzy budowle istnienia, a nowych nie umiał nikt wznieść!

Z eteru spływać poczęła Rozpacz i Pogarda świętości, a na straży świata stanęło rozpasanie się zbrodniczych instynktów człowieka-zwierzęcia! W objęciach Zła i Nienawiści staczał się świat w przepaść bezdenną upadku, ginęły ludy, zamierały zdolności twórcze; a ziemia pokrajana okopami pokryła się chropowatością mogił i lasem krzyżów...

Odeszła wiara, odeszła nadzieja! Załamano ręce!

— — — — — — — — — — —

Ha! — „Nie zemstą dzieją się wielkie postępy rodu ludzkiego, ale miłością, ale pracą długą ducha!"

— — — — — — — — — — —

Zaświtało słońce pokoju i z tych samych bezkresnych zaświatów dziejowych wypłynęła zorza Wolności. Ze strupieszałych królestw Zamarcia poczęto wydobywać dawne materje i ożywiać je doskonalszą formą doświadczenia.

I znowu rozkołysał się dzwon; — lecz dzwon miłości, pokoju; dzwon miękko łkający na tle rozpasanych żywiołów ostatnich przeżyć!

Dzwon wzywający do pracy! Wszystkich: i bogatych i biednych — i mocarnych i maluczkich — i starych i młodych! — Wzywający do pracy, nagrodzonej świadomością panowania Dobra, panowania Miłości bliźniego!

I my ożywiajmy pracą zamarłe twory bytu! My, młodzi! Oto sens naszego życia! Pracą pchnijmy kulę dobrobytu, by potoczyła się lekko ku lepszej przyszłości. Cichą, heroiczną pracą wysiłków wymażmy z pamięci chwile rozszalałego dnia wczorajszego. Nie chwilą, lecz długim wiekiem pracy zawrzyjmy bramy przeszłości, a otwórzmy bramy słonecznego Jutra!

Nowy Sącz, w lutym 1931.

Stanisław Goldberger
kl. VIII Gimn. I.



Przy radjoaparacie.

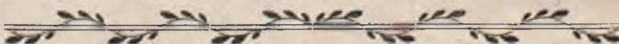
Aparat nastawiony na Warszawy falę
Eteru najczulsze drgnienia uchem chwyta.
Płyną dźwięki tajemne z oddali, z oddali...
Drga w nich treść łzawej myśli przed nami zakryta!

Czasem serce zadźwięczy pod tajemnic oskołą...
(Melodja łka Szopenem, huczy Beethovenem).
W czerni wtyczek, w czerwieni cewek i cokołów
Pachnie stacja nadawcza srebrnem oddaleniem!

Audycja wykrzesana muzyką, odczytem
Śle z przestrzeni otuchę i przyszłości nadzieję!
Przeżywać znowu każe chwile już przeżyte
I z nich tworzy codzienną, zwykłą epopeję!

I ginie człowiek smutki urojone chłonący!
(Czy każdy musi bole z uczuć łowić pierwsze?)
Przy radju pierzchnie smutek w zapomnieniu tonący
I w kaskadzie melodyj narodzi się — wierszem!

Stanisław Goldberger.



Ge-Wu.

Wrażenia zawodnika.

Wielki ruch zapanował w naszej budzie, gdy ukazała się kurenda głosząca, że uczniowie mogą brać udział w zawodach narciarskich o odznakę P. Z. N. (Powszechny Związek Nieuków). Więc ja, jako zapalony miłośnik sportu, postanowiłem również pokusić się o zdobycie tak cennej odznaki i zapłaciwszy złocisza (słownie sto groszy), znalazłem się na liście „proskrybowanych".

Lecz widocznie pech nie odmówił mi swego towarzystwa, choć go o to wcale nie prosiłem, — gdyż już w przeddzień zawodów

dowiedziałem się, że sumę mego numeru tworzą same „trzynastki“. Przyjąwszy jednak z rezygnacją, mimo że nie jestem stoikiem, tę niezbyt wesołą wiadomość, postanowiłem mimo tego startować.

Nadszedł wreszcie przez wszystkich oczekiwany dzień niedzielny, w którym trzeba było pokazać, co się potrafi. — Najpierw zabrałem się do smarowania „desek“, lecz będąc całkowicie przejęty zawodami, nie zwracałem uwagi na jakość smarów. Następnie, załadowawszy do kieszeni sporą porcję prowiantów i wysłuchawszy przestróg matki, ruszyłem „per pedes apostolorum“ na Zabełcze, t. zn. na miejsce startu. Tam otrzymawszy ów fatalny numer, wyjąłem kartkę i ołówek, aby w testamencie przekazać swój majątek ruchomy i nieruchomy na pokrycie kosztów ewentualnie złamanych „desek“, które z wielkim trudem udało mi się wreszcie pożyczyć, — gdy wtem rozległ się donośny głos startera: „Zawodnicy na start!“ Wysłuchawszy całą litanję przepisów, z biciem serca oczekiwałem swej kolejki.

Stanąłem na starcie! O uszy moje odbijały się słowa startera; „piętnaście.... dwadzieścia.... dwadzieścia pięć....“ — a na okrzyk „hop!“ całą parą rzuciłem się naprzód, by gonić swego poprzednika, który oddalał się odemnie coraz bardziej. Zewsząd goniły mię okrzyki: tempo! Gazu! Ciąg! i t. p.

Lecz pomimo to niewiele przejmowałem się owemi głosami i jechałem dość wolno, o czem świadczyły co chwilę do mnie skierowywane okrzyki: „trasa wolna!“

Drapiąc się pod górę, z przerażeniem skonstatowałem przykry dla mnie fakt. Mianowicie w roztargnieniu posmarowałem jednę nartę „Wlazolem“, a drugą „Lepniakiem“, co miało ten skutek, że gdy lewa narta posuwała się w górę, to prawa natomiast zdradzała wybitne skłonności do tyłu. Rzecz prosta, że w takich warunkach nie mogło być mowy o szybkiem posuwaniu się naprzód, toteż piąłem się pod górę z wielkim trudem. Podchodząc pod górę w stanie zupełnego wycieńczenia, zapytałem spotkaną gromadkę przypatrujących się chłopów, jak daleko jeszcze do szczytu, — na co jeden z nich udzielił mi pocieszającej odpowiedzi: „Jeszcze, panoczku, trzy ćwiorte kilometra pod górę“. Zakląłem w duchu na takie „dictum“, ale nie było co robić!

Wreszcie udało mi się osiągnąć tak upragniony szczyt i przezwyciężywszy „pierwszy pot“, zacząłem brać „tempo“.

Droga prowadziła teraz na dół i całym „gazem“ jechałem, słysząc tylko świst wiatru. Nagle, o zgrozo!... Na jakie pięćdziesiąt metrów przedemną stał chłop z łopatą, krzycząc, że nie pozwoli po oziminie „breweryje wyprawiać“. Byłby mię może zapoznał bliżej ze swą łopatą, lecz ja zatrzymawszy się, zacząłem chłopa zaklinać, że jak tylko zjadę na lewo, to zdejmę narty i pójdę na nogach. Chłop na to się zgodził, a ja rozpędziwszy się zwiałem mu z pod samego nosa, krzycząc mu na pożegnanie: „Ostańcie, ociec, z Bogiem!“

Tak zjechawszy do połowy góry, zacząłem na dobre „gazować“, chcąc przegonić swego poprzednika, który już ustawał, gdy nagle głuchy trzask oznajmił katastrofę i niemal równocześnie zaryłem nosem w śniegu.

Czemprędzej się wygramoliłem, lecz bez lewej narty, która spokojnie leżała u podnóża góry w rowie, gotowa do dalszej jazdy. Przypinając nartę spostrzegłem, że się coś w rowie rusza, dopiero po chwili poznałem „skublaja“, który chcąc sobie skrócić trasę, „przypadkiem“ wpadł do rowu.

Był to już ostatni etap mojej jazdy. Wyszedłszy jeszcze raz pod górę, z przyjemnością i ulgą zobaczyłem na sąsiedniej górze „publikę“, co zwiastowało bliskość mety, tem samem koniec tak uciążliwej jazdy.

Dostawszy się na górę, z której się zjeżdżało do mety, zacząłem całym gazem smarować na dół i przejeżdżając wśród dwóch rzędów kolegów i koleżanek, triumfalnie wpadłem do mety wśród narzekań współkolegów, dlaczegom tak późno przyjechał.



Sezamie otwórz się!

„Dziś szuka się jeszcze owego „sezamie otwórz się“, aby poznać straszliwe siły zamknięte w atomach i użyć ich do posług wedle własnej woli“.

J. Grzywióski „Noc 1002-ga“.

[Por. artykuł „Człowiek panem przyrody“. Lot Nr. 3].

Mówimy, że atom jest to taka cząstka materji, która się nie da podzielić.

Nie da się podzielić? Nie, bo w tym mikroskopowym pyłku zamknięta jest „straszliwa siła“, która skupia poszczególne elementy materji w jednostkę nierozerwalną, urągającą próżnym wysiłkom uczonych, którzy usiłując ją rozbić, chcą ją z energji tej ograbić, aby „użyć jej do posług wedle własnej woli“.

Energja, ukryta w atomie materji, równa się według wzoru fizycznego na siłę dośrodkową iloczynowi z ciężaru materji i kwadratu szybkości światła.

Jest to więc potężny zbiornik siły, znacznie przewyższający wszystkie dotychczas człowiekowi znane i przez niego wyzyskiwane jej źródła, o który warto się pokusić i zdobywać go nawet kosztem długoletniej a wytrwałej pracy.

I gdyby komuś udało się kiedyś w przyszłości rozwiązać problem rozbicia atomu, rozwiać w nicość protony, elektrony i wszystkie najdrobniejsze jego składniki, a uchwycić z niego tę, dotychczas jedynie teoretycznie znaną nam siłę, to byłoby to odkrycie rozpoczynające nowy okres w rozwoju ludzkości. Kwestja zdobywania energji zniknęłaby całkiem: człowiek posiadłby ją w ilości nieograniczonej, coby mu pozwoliło na zrealizowanie nawet najfantastyczniejszych, a dotychczas w bajce tylko możliwych pomysłów.

Pociągnęłoby to także za sobą zupełny przewrót w życiu i ukształtowaniu społecznem. 1 kg materji pozbawiłby pracy tysiące robotników na przeciąg kilkudziesięciu lat. Życie potoczyłoby się jakimś innym zupełnie, wprost nie dającym się nam wyobrazić torem.

Ale czy nie są to może tylko czcze marzenia umysłów uczonych? — Czy problem rozbicia atomu nie jest jedynie jakąś nową formą owego średniowiecznego „perpetuum mobile“?

Na to pytanie wyjdzie kiedyś odpowiedź z laboratorjów uczonych.

D. L.
kl. VIII G. I.



Coś o dźwiękowcu.

Dużo się słyszy o tym nowym rodzaju XI Muzy, ale nie wszyscy wiemy, jak, gdzie i co? Dlatego też zaczerpnąłem kilka wiadomości ze źródła w tym wypadku najlepszego, bo od p. prof. Kosińskiego.

Zapewne nie wszyscy mili Czytelnicy jak i nadobne Czytelniczki wiedzą, że za kilka tygodni „niemy“ dotąd Sokół — przemówi!...

Radość to będzie dla nas młodych praw-

Kajsi cosi o Symusiu Cyrculi.

Roz, wiycie, Szmuś Cyrculin wybroł sie jaze do Krakowa, zeby co godniejse rzecy w nim obeźryć. A ze, wiycie, sed na piechty, to se wziął setnie łowsianego moskalicka i osełecke masła do torby. Ale ze to było doś nieblisko, to tyz sie mu wnetki moskalicek pocon mieć ku końcowi. No — ale cóz ta beem sie tem barz turbowoł — myśli se, — mom ta troche dutków w kabzie, to ta jus jakosi wyzyjem i nie umrem z głodu.

Tak ci tyz, kie w Kraków przisel, zaroz se na rynku kupieł kukiełecke. A ze mu ta, wiycie, kiski w brzuchu z głodu zacęły muzykować, przykucnął se pod drzywkiem, wyjął kukiełecke z torby, posmarowoł masełkie i zacął to syćko z moskalickiem przigryzać. Doś sie mu sie ta to widziało do smaku, ale widzi — jakisi pon, taki miastowy, co wedle niego seł, przistanął i patrzi na Symusia z wielgiem podziwieniem i pyto:

— Cegos ty taki durny chłopie, takom fajnom kukiełecke smarujes masłem, a moskalicka to takiego postnego przigryzos?

Symuś sie ta troche zacuknął, ale zaroz priseł na swoje i tak ci temu ceprowi rzeknie:

— Głupi, to je moze pon, a nie jo; poco byk jo telo ladaco — moskalicek masłe smarowoł?

dziwa i szczególna, a krok jeden więcej w naszym rozwoju.

Okropnie dużo piszą o dźwiękowcach po różnych pismach; jednym się podoba, drugim nie, ale zdaje się, że się wszyscy do niego przekonują (całkiem zresztą słusznie). Co do strony artystycznej, to będziemy mogli sobie sami wyrobić zdanie, ale pozostaje jeszcze strona techniczna.

Urządzenie nowoczesnej kabiny kinowej może być: albo dźwiękowo-płytowe, albo dźwiękowo-optyczne, albo wreszcie połączone obydwa systemy, — co właśnie będzie w Sokole.

Pierwszy sposób urządzenia polega na zasadzie płyty gramofonowej i membrany elektrycznej, przez którą przenosi się dźwięk w formie impulsów elektrycznych do głośników, znajdujących się za płótnem ekranu.

Urządzenie płytowe ma to do siebie, że można podczas wyświetlania „niemej“ taśmy nadawać dowolną ilustrację muzyczną z płyt. Ma jednak i wadę, a mianowicie: głos nie wychodzi tak naturalnie, jakbyśmy tego pragnęli. Wada ta jest wszakże sprowadzona do minimum przy systemie dźwiękowo-optycznym, polegającym na zmianie efektów optycznych na impulsy elektryczne, a z tych dopiero na fonetyczne. Na taśmie filmowej, obok normalnego obrazka znajduje się wąski pasek, na którym widać to cieńsze, to grubsze prążki ciemne. Wyobraźmy sobie, że taki prążek to ton, a cała arja Kiepury np. z „Halki“, będzie wyglądała jak... zebra. Dopiero w cudownej komórce fotoelektrycznej, której zasada działania nadzwyczaj skomplikowana, a polegająca mniej więcej na tem, że z elektrycznego „połechtania“ tejże komórki neonowej wychodzi cień lub światło, albo — jak przy dźwiękowcu — sprawa ma się naodwrót i z prążków otrzymujemy pośrednio ton.

Lecz „mądry“ mój wykład przerwać muszę, gdyż widzę znudzenie na twarzyczkach sympatycznych Czytelniczek, które skusiły się na czytanie tego artykuliku, a wolałyby coś o Novarze lub Sawanie... Niestety wiem o nich niewiele, bo zajmuje mnie, jako brzydkiego, płeć tylko piękna (na ekranie).

A. zatem przeczekajmy cierpliwie lub nie (zależnie od usposobienia) przeciąg 3 tygodni, które dzielą nas od owej miłej chwili „usłyszenia“!

teka.



St. M.

Potęga pracy.

W małym światku mrówek, praca jest życiem.

Tam niema jednostki, któraby nie pracowała, tam niema wogóle tego, tak wśród ludzi ulubionego pojęcia bezczynu. Widzimy, że cała przyroda pracuje, pszczoły znoszą miód i pyłek kwiatowy, zaś trutnie, ponieważ nie pracują, zostają przez pszczoły-pracownice wyrzucane z ula i giną z głodu. — Termity muszą bronić swych kopców przed nieprzyjacielem, a oprócz tego musza pracować dla młodego pokolenia. Rośliny przerabiają dwutlenek węgla na składniki che-

---

Dyć nie worce, a kukiełka je barz fajno, to jom trza posmarować masełkie, bo tego worce.

Zeby se ta zaś syćko dokumentnie obeźreć, poseł jesce na jarmak. Chodziły fte akurat po rynku jakiesi poprzebirane cudoki cy komedyjanty, grały i bębnowały, coby ludzi na plac zwołać na te kumedyje. Napatrzołeś sie tamok cegoś ino fcioł, cuda świata, wiycie, były w ty kumedjancki budzie. Małpy, wiycie, papugi, garbate wielbludy i inne gady — hej. Jedyn, wiycie, taki kumedyjant, musi Cech, pokazowoł ludziom takiego okrutnego goda, owinął go se kole syji, a pysk ku ludziom obrócieł, wykrącoł nim jak postronke, i godoł ludziom, co to jes za god:

— Ta zatracena potwora, menuje se boa-obstruktor, co je od wezów król, — od hlawy do ugona pięć metri, a od ogona do hlawy siedem metri — dwanaście metri do kupy dlugi, królikami sie futruje, a wymetu sie z pod nieho kaposte. — Mlade holki lubo calować, ale stare baby neni... Raz, kie byl dużo hladny, zlapal stare baby, wyskocil z nią na wysokie drzewo, oblupil ze skóry a zjad....

Jesce tyn Cech duzo o nim prawił, ale o tem wom opowiem jesce kie za sto lot, jak dozyjem — haj!

Marschalko
kl. VIII.

miczne potrzebne im do życia. Wszystko pracuje, bo bez pracy nie byłoby na ziemi życia. Praca jest prawem powszechnie obowiązującem, jest linją wytyczną przez cudowną harmonję wszechświata, po której muszą kroczyć wszystkie stworzenia.

A człowiek?

Ten najdoskonalszy twór przyrody, wyniesiony na piedestał króla stworzeń, miałżeby nie pracować? — Nie! Wszystkie odchylenia od praw, błędne kroki przeciwne prawom wszeświata — przynoszą szkodę wszystkim żyjącym istotom.

Widzimy konkretnie i doświadczamy to sami ustawicznie, że praca to czynnik podnoszący tak jednostkę, jak i całą ludzkość, i prowadzący w coraz to wyższe stadja rozwoju. Praca otwiera przed nami nowe, nieznane drogi, otwiera tajemnice bytu, daje piękno, dobro i radość życia. Praca — to szczęście i pogoda. Potęga jej udziela się jednostkom, oddającym się jej w zupełności, jak również narodom, których obywatele odrzucili od siebie to słowo „bezczyn".

Jeśli jest mowa o narodzie, to wycieńczony wiekową niewolą i długą wojną naród polski powinien świecić przykładem niezmordowanej pracy całemu światu.

Jeden z naszych pisarzy, Józef Korzeniowski pisał, że naród odrodzi się nie z prochu, kul i żelaza, ale z pracy.

Praca jest wielką służbą Ojczyźnie, a lenistwo to zbrodnia wobec Boga i Ojczyzny. Lenistwo jest źródłem wszystkiego zła, wszelkiej zbrodni i występków, to wada, której koniec jest zawsze mniej lub więcej smutny.

Pracować musi każdy, biedny czy bogaty. „Miej beczkę złota, a próżnuj mospanie; złoto uleci, a beczka zostanie" — mówi stare przysłowie naszych przodków. Wielu to ludzi skończyło marnie, jedynie z powodu lenistwa, które ich pchnęło na bezdroża. Im więcej ludzi pracy i obowiązku, tem mniej w kraju zbrodni, tem więcej szczęścia i zadowolenia między obywatelami, tem kraj bogatszy, i każdy się z nim liczy.

Pracujmy więc, jeśli nam nie obojętnym jest los Ojczyzny i jeśli Jej dobrze życzymy, niech lenistwo i próżnowanie nie znajdzie miejsca i sposobności do rozwinięcia się pośród synów wolnego narodu.



Jan Chr. P.

Drogi w starożytności.

Mapa traktów linij lotniczych lub linij pociągów luksusowych XX wieku, daje nam obraz prawie identyczny linij dróg w starożytności. Rzym, „wieczne miasto", który władał w starożytności prawie całym znanym

Pisz coś o naszej klasie!

— Numer następny oddaje się do dyspozycji klasy VIII Gimn. I.

— Co? nasza klasa ma pisać cały numer?

— Edek, Staszek, Jasiu, piszcie coś do „Lotu"!

— Pisz artykuł! — zwraca się do mnie Redaktor. Ciekawy jest ten Kuba. Równie dobrze mógłby mi zaproponować podróż międzyplanetarną, albo sumienne przygotowanie się na jakąś lekcję, co jest wobec wielu innych, piękniejszych, wznioślejszych i mniej ponurych zajęć popołudniowych, rzeczą zgoła absurdalną.

Ujęty jednak oryginalnością takiego pomysłu, zapytałem go, jakim, według niego, rodzajem mógłbym ozdobić i uświetnić nasz numer.

— Napisz coś humorystycznego o naszej klasie.

Bardzo jestem ciekawy, co humorystycznego możnaby, wobec zbliżającej się matury [bo wszystko musi się brać pod uwagę — trzeba być zawsze przewidującym!], napisać o naszej klasie?... Historja jej jest krótka i nieskomplikowana: Od najdawniejszych czasów była ona „najgorszą" — oczywiście nie w piłce, ani w palancie. Cóż znowu? Przez długie lata walczono z nią systematycznie i wytrwale, aż wreszcie opuszczono ręce bezradnie. Wtedy ona, brzemienna ilością rozbitych szyb, zużytej kredy, rekordów sportowych i nienajlepszych not w katalogach, stanęła do pół-finału: klasy ósmej. Jedni biegli tam ochoczo, spontanicznie, innych popychano, a byli i tacy, co pomni na wieloletnią tradycję i poprostu siłą przyzwyczajenia parci, w wręcz przeciwnym kierunku wy-

światem, połączony był nierozerwalną siecią dróg, tak z Zachodem, jak i ze Wschodem. Brytanja, Galja, Hiszpania z jednej strony, Mezopotamja, Mała Azja, Palestyna, Egipt, oraz pobrzeże ośrodka cywilizacyj starożytnych świata morza Śródziemnego, pokrajane białymi pasami — to jedna sieć, jedna całość komunikacyjna.

Nie można powiedzieć, by wszystkie te drogi zawdzięczały swój początek i egzystencję Rzymowi, lecz śmiało można rzec, że Rzymianie prześcignęli wszystkich swoich poprzedników, w rzędzie których stawiamy Asyryjczyków, Persów, Chińczyków i Hindusów.

Długość wszystkich dróg rzymskich razem wzięta, wynosiła około 10.200 mil geograficznych. Otóż siecią ową moglibyśmy opasać prawie dwa razy naszą matkę ziemię w „pasie" [czytaj — na równiku].

Z Rzymu, względnie Forum Romanum wychodziło pięć wielkich traktów, rozgałęziających się i łączących wielkie imperjum z Galją, Hiszpanią, Afryką, Azją, Bizancium i Prowincjami Naddunajskiemi.

Szerokość dróg wynosiła przeciętnie 16 stóp rzymskich [około 5 m]. Przy szlakach, którymi często armja rzymska ciągnęła, z jednej i drugiej strony danej drogi prowadziły chodniki dla potrzeb ludu cywilnego. Przy drogach rzymskich, szczególną uwagę zwracano na to, aby dane dwa punkty były połączone najkrótszą linją, bacząc także na to, by różnica wzniesień była możliwie najmniejszą. Aby uczynić zadość wymaganiom, musiano oczywiście pokonywać trudności terenowe. Sypano więc wały w dolinach, nad rzekami zaś przeprowadzano nieraz wielkie mosty.

Wykonanie dróg pod względem technicznym było znakomite. Wzdłuż drogi budowano ołtarze poświęcone bogom, kaplice, lub też ustawiano pamiątkowe tablice. Dla orjentacji przebywających drogę ustawiano słupy milowe [odległość 1·5 kilometra].

Z pośród wszystkich dróg, na szczególną uwagę zasługuje Via Appia „Królowa dróg". Za godzinę można było tą drogą dostać się do Kampanji, kolonji przebogatych will arystokracji rzymskiej. Nic więc dziwnego, że stała się ona traktem, na którym można było spotkać elitę rzymską w pięknych powozach, ciągnionych przez rasowe konie o pięknym zaprzęgu.

Dzięki owym świetnym drogom, mogli kurjerzy docierać z rozkazami i depeszami do najdalszych krańców ówczesnego imperjum, lub dostarczać wiadomości i sprawozdań z odległych prowincyj. Z początku pełniła poczta wyłącznie służbę państwową, z biegiem jednak czasu przeszła także na służbę ogółu. Stąd też zaszła potrzeba budowania budowania stacyj przy traktach, mo-

---

siłki swoje skierowywali. Mimo silnego jednak oporu, jakaś „vis maior" popędziła i tych za innymi, uzyskując w ten sposób dobór nie tyle doskonały, ile osobliwy.

Bo i cóż się widzi, gdy się spoglądnie na fizjognomję naszej klasy?

Spróbuję wam ją pokazać.

Tam w kącie młodzieńcy wyniośli i „jak bogowie piękni", element dekoracyjny i reprezentacyjny naszej klasy, wytrawni wielbiciele i ulubieńcy płci „słabej, zdecydowani wrogowie nauki, układają jakiś plan strategiczny.

Obok nich charaktery kontrastowo im przeciwne: „Józio" i „Zefir", bujacz nałogowy, wiodą namiętny spór o pojęcie średnie w przesłance większej.

— Kryzys — stagnacja — fatalne stosunki finansowe! — tłumaczy się „Szantażysta" swoim wzniośle-uczono-dziennikarskim stylem przed nagabującym go o 20 groszy Heniem.

Zbyszek, młodzieniec wielkich zalet ducha i niemniej „pięknego" organu powonienia, który w przerwach między jedną drzemką a drugą — a więc na pauzie — przemierza również wielkiemi krokami salę tam i z powrotem, na propozycję z 20 groszami odpowiada lapidarnie: „Zwarjowałeś?" — i chodzi dalej w niezmienionym kierunku.

Ale postacią najosobliwszą i najwięcej na siebie uwagi ściągającą jest „Świder". Jego wyjątkowa niedbałość o powierzchowność, objawiająca się w fantastycznem uformowaniu włosów, szczególnem zawiązaniu krawatki [pod lewem uchem], obieleniu ze wszystkich stron i w wielu innych akcesorjach jego osoby — tworzy wraz z przyrodzonemi jego kwalifikacjami na klowna cyrkowego

gących dać możność wypoczynku ludziom i koniom.

Przy normalnym ruchu czynnemi były czterokołowe wozy, mogące pomieścić od 2—4 osób. Na stacjach zaś większych lub węzłowych pełnili służbę weterynarze, kowale i kołodzieje.

Nad sprawnością organizacji i nad stanem dróg czuwali wyżsi urzędnicy. Szybkość osiągana na drogach rzymskich była, jak na ówczesne czasy, b. wielka. Drogę bowiem z Antjochji do Bizancium, wynoszącą 1102 km, przebywano w ciągu 5—6 dni. Przy b. ważnych depeszach osiągano szybkość 30 km na godzinę.

Teraz we Włoszech, w kolebce techniki drogowej. mogącej nawet zaimponować dzisiejszym inżynierom, powstają nowe trakty wyłącznie dla ruchu automobilowego. Trakty te są przewidziane dla każdej mozliwej szybkości. Nic więc dziwnego, że taka szosa cieszy się uznaniem wśród sfer samochodowych.

Idąc za ideą starożytnych opasania świata bitemi drogami, Stany Zjednoczone otworzyły niedawno linję autobusową, łączącą oba oceany. Na linji tej 300 km klasycznego gońca starożytnych w ciągu doby, może wykonać goniec samochodowy w 2—3 godzinach. — Idea więc starożytnych staje się i dziś aktualną, oczywista w nowej formie.

Tad. Klim.

Legenda o Djabelskim Kamieniu.

Z doliny Czarnego Potoku trzeba iść na nartach dwie i pół godziny, aby się dostać na szczyt Jaworzyny. Stok tej najwyższej w okolicy krynickiej góry, jest w tem miejscu bardzo stromy i dla niezaprawionych narciarzy uciążliwy. Dlatego też posuwaliśmy się zwolna, co chwilę zmieniając się w prowadzeniu.

Właśnie małorozmowny nasz towarzysz, do którego przylgnęła nazwa „Nieznajomy“, z powodu dziwnego zachowania się i okoliczności, wśród jakich powiększył liczbę członków naszej wycieczki do czterech — zwalił na moje barki, a raczej nogi, ciężar prowadzenia i spokojnie umieścił się na końcu korowodu. Pogoda dopisywała nieźle, lecz w chwili, gdym głośno fakt ten skonstatował, słońce, które właśnie obchodziło południe, przykryte zostało przez czarną, ołowianą chmurę. Cóż nas mogła obchodzić jakaś chmura? Nas, ludzi XX wieku, nie liczących się z naturą... Byłem tylkn zły, że chwila przypadkowego wypoczynku minęła, i trzeba się było dalej pchać pod górę.

Takie podchodzenie jest bardzo przykre i można je porównać z obowiązkową wizytą lub co lepiej z filmem naukowym np. „Z ży-

---

„harmonijną całość“, która na ustach każdego widza musi wywołać okrzyk niekłamanego zachwytu.

Prowadzi właśnie z Olkiem, „Chińczykiem“ i kilku innymi nagonkę na „Kropę“, polegającą na systematycznem rozdrażnianiu go.aż do pasji. Jest to gra wysoce niebezpieczna, bo oto „Kropa“ alias „Teufel“, mąż o herkulesowej sile obejmuje swego prześladowcę lewem ramieniem z lewej strony od tyłu [zawsze w ten sposób] i kładzie go na ławce tak, że ukazuje się mu „odwrotna strona medalu“.

Teraz w rękę prawą wkłada całą dotychczas tłumioną w sobie wściekłość i poczyna sobie ze „Świdrem“ jak papa po wywiadówce, sromotnie przez to ubliżając jego godności abiturjenta.

Tak bezpośredni sposób likwidowania antagonizmów wywołuje zrozumiałą uciechę widzów, która uzewnętrznia się zapomocą wykrzykników, jak najmniej przypominających dźwięki artykułowane.

— I to jest ósma klasa? — zawołacie Czytelnicy. Ale nas to całkiem nie żenuje.

Pytanie takie słyszymy bodaj codziennie z ust więcej kompetentnych i mieliśmy już możność do niego się przyzwyczaić.

Oto w nieudolny sposób skreślony fragment z pauzy w naszej klasie.

— No tak, ale gdzie tu jest humor? — zapytacie znowu.

— ?

Wólki, 22 lutego, gdzie w miłej atmosferze wśród grona gościnnych kolegów popadłem w trans.

nie-on.



cia małp"; porównań na ten temat możnaby wysnuwać b. dużo, bo tak właśnie długo trwa samo podejście. Wytrawny narciarz powiada sobie wówczas, że to nie wiecznie, i że po każdem podejściu następuje zjazd, który jest w stanie najgorsze nawet wynagrodzić przykrości...

Tak właśnie rozmyślając — stanęliśmy u Djabelskiego Kamienia — nazwa niezbyt zachęcająca, sam wygląd podobnież. Czarne zwalisko głazów, z widniejącymi gdzieniegdzie „djablemi" śladami pazurów, czyni wrażenie ponure, a gdy jeszcze do tego robi się prawie że ciemno z powodu nadciągających chmur — dalsza droga, której pozostało z kilometr, wcale nie wabi.

Podczas, gdy naradzamy się nad możliwością odwrotu, — „Nieznajomy", jak zwykle bez słowa, wysuwa się naprzód, zamykając temsamem dalszą dyskusję. Idziemy za nim posłuszni, jakby na sznurku wiedzeni. Wiatr dmie z przeraźliwą siłą, utrudniając z natury już ciężki teren. Po kilkunastu chwilach zmagań jesteś otoczony mgłą tak gęstą, że twój poprzednik ginie ci z oczu. Wicher smaga żywym ogniem policzki, dech zamiera w piersiach, — trzeba się odwrócić, by go schwytać. — Tam pod granią, dokąd cię wichura tak usilnie spycha, wiesz, że przepaść, przed którą myśl się wzdryga.... Byle się nie dać, byle utrzymać się na tej szreni, która przypomina twardością lód! — Smary już nie trzymają, co krok naprzód, dwa wtył. W ślepiach stają łzy niemocy — trzeba zawrócić! W schronisku znajdziemy jaki taki przytułek.

— Hej tam! Zawracamy do schroniska na Runku!

I zjazd na łeb, na szyję, przez jakiś zawalony śniegiem las, przez zagajnik, którego kontury zacierały płaty sypiącego śniegu, wpadamy na polanę, wśród której czerni się coś jakby dom, jednak doszczętnie śniegiem przysypany. Dom okazał się schroniskiem.

— Z tej strony będą drzwi — wskazuję Jędrkowi. — Pomożesz mi odwalić śnieg, a będziemy za chwilę pili herbatę!

Niestety schronisko okazało się niezagospodarowanem i o herbacie mowy być nie mogło. Na dobitek w izbie było kompletnie ciemno z tego prostego powodu, że dwa tylko okna zwrócone ku północy, przykrył swym całunem śnieg. Dopiero ogień rozpalony na kominie rozjaśnił sytuację o tyle, że można było skonsumować skąpe zapasy żywności i naradzić się co do dalszego postępowania. Postanowiliśmy burzę przeczekać na miejscu i wyruszyć z powrotem dopiero wieczorem. Szerokie prycze gościnnie przyjęły strudzonych turystów. Z gorejącego komina płomienie kładły po izbie niesamowite cienie. Ktoś spytał, czy nie znamy legendy o Djabelskim Kamieniu, — wówczas z pryczy „Nieznajomego", leżącej naprzeciw drzwi, podniósł się głos równy i pewny:

— Było to już dość dawno. Na wyniosłym zamku nad Popradem żył wówczas i władał dzielny rycerz Rutysław. Dobrze się mu wiodło; trakt, nad którym wszechwładnie panował jego zamek, roił się od kupców, ciągnących z Węgier i płacących cło. A jednak nie o tem myślał młody pan, stojąc w oknie komnaty; on spoglądał wdół ku wiosce, gdzie uwagę jego przyciągał malutki domek. Tam wśród bielonych ścian żyła jego ukochana, cudna Bożena. I ona spoglądała często ku wyżynom zamku, — jedną myślą złączeni marzyli młodzi o szczęściu niczem niezamąconem.

A gdy się już mieli pobrać, jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość o napadzie Tatarów na ziemie polskie. Rusław bezzwłocznie wyruszył tam, gdzie go wzywała powinność.

W bielonej chatce u skraju wsi siedziała przy kołowrotku Bożena stęskniona za swym rycerzem, który gdzieś daleko z wrogami krwawe toczył boje. Aż pewnego razu, gdy znużoną główkę oparła na kołowrotku, śniąc wydało się jej, że widzi jakąś panią z mgły, rozkazującą iść i poszukać swego rycerza, który straszliwie poraniony przez wroga padł i ledwie żywie upływem krwi osłabion.

Przebudziła się Bożena i wielką miłością powodowana spieszy na ratunek ukochanemu z modlitwą na ustach a wiarą w sercu. Przedziera się przez gęstwy leśne, przez puszcze pełne dzikiego zwierza, a prowadzi ją widmo mgielne Dobrej Pani.

Już zmierzchać poczynało, gdy Bożena odnalazła rannego Rusława. Ze spieczonych gorączką ust rycerza szła cicha prośba:

— Ach! jak strasznie jestem spragniony! Wody... wody...

I wędrowała dalej w poszukiwaniu zbawczej krynicy, i znów na ciemnem tle lasu ukazała się mgielna postać Przewodniczki. Lecz w sprawę tę wdał się djabeł onych gór, Boruta. Już oddawna przypatrując się usiłowaniom pięknej dziewicy, postanowił jej w ratunku przeszkodzić. Duchem popędził ku tatrzańskim szczytom.

Tymczasem Bożena odnalazła leśne źródełko, a przy niem dzban. Wodą ze źródła obmyła rany Rusława. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powstał pełen sił — jeno z bliznami ran wygojonych; woda ze źródła miała moc cudowną...

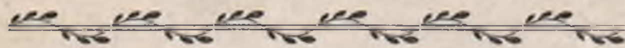
Lecz od Tatr pędził już Boruta, niosąc ogromny głaz, którym chciał zmiażdżyć uszczęśliwionych kochanków. — Jednak w chwili, gdy już miał wykonać swój niecny zamiar, z chmury, w której się mgielna Pani rozpłynęła, piorun uderzył w szatana i przywalił go łomem skalnym, który niósł...

W tym momencie szalejący nazewnątrz huragan wdarł się do izby, rozdmuchał w pył dogasające ognisko, zrzucił z hukiem coś ciężkiego na ziemię i dwuchnąwszy nam w twarze zimnym oddechem uderzył w drzwi, by dłonią mocarza tknąwszy je, wypaść na pole. — Strach zjeżył włosy i wdarł się pod czaszkę zimnym klinem.

— — — — — — — — — — —

Późno w noc wracaliśmy do domu. Śnieg zlekka prószył — w białą ciszę wdzierał się tylko chrzęst nart. Droga powrotna prowadziła znów popod Djabelski Kamień. Niesamowite zarysy głazu napawały trwogą...

O dziejach pięknej Bożeny i dzielnego Rusława starałem się nie myśleć.



NASZE ŻYCIE

Gimn. I.

Dotychczasowe życie w naszej „budzie“, a zwłaszcza po klasyfikacji było smutne jak student bez „forsy“. Dopiero różne wypadki wpłynęły cośkolwiek na pewne ożywienie się, a mianowicie:

W niedzielę 22 lutego, uczeń klasy VI b, Aleksander Olearnik odśpiewał na chórze 2 utwory solowe: „Na skrzydłach pieśni“ i „O Władco świata“. Pierwszy ten występ wypadł znakomicie i rokuje jak najlepsze nadzieje dla młodego śpiewaka.

Następnie w dniach 24—27 lutego odbyły się dla uczniów naszego Zakładu rekolekcje, na których piękne nauki wygłosił ks. sup. Franciszek Piątek T. J.

Wkońcu staraniem klas wyższych urządzony zostanie uroczysty poranek w dniu 19 marca. Na bogaty program złożą się: „Dziedzictwo“ Henryka Solza, odegrane przez Kółko Dramatyczne uczniów kl. VII, pod reżyserją p. naucz. Ziegla, deklamacje, występy chóru mieszanego i orkiestry smyczkowej.

Mamy nadzieję, że poranek ten spotka się z uznaniem tut. młodzieży. *E. W.*



Na stadjonie krynickim.

(Wspomnienia).

— Panie! jak pan nie umiesz stać w ogonku, to pan nie chodź na hokej!

— Panu się zdaje, żeś tylko pan ważny!

Cóż tu robić? Wypchnęli mnie z przed kasy, to się trzeba dostać na inny sposób.

— Können sie mir die Loge für die Presse zeigen?! — zaklinam z niemiecka cerbera wejściowego, co poskutkowało na niego jak natrysk zimnej wody; zawołał jakiś drugi egzemplarz cerbera, coś mu pogadał, ten kiwnął głową i zaprowadził mnie na trybunę pierwszorzędną (jak się domyśliłem) dla dziennikarzy. Tu znalazł się znów jakiś pan z opaską na ramieniu, zapewne zawodowy poliglota, który zaindagował mnie z miejsca w języku francuskim, kto zacz jestem. Ja mu na to, jako że nienadzwyczajnie posługuję się rodowitem narzeczem Roussa i Docheta, postawiłem mu pod nos numer... (zgadnijcie mili Czytelnicy!) numer.... „Lotu“. — I stała się rzecz dziwna i zgoła nieprzewidziana: pan ten wskazał mi miejsce w pierwszym rzędzie i z ukłonem się oddalił.

Tymczasem na lodzie Czesi już trenują, aby rozkręcić mięśnie przed meczem z Polską. Szukam Malecka, najlepszego wśród

Czechów i w całej Europie hokeisty. Jest, sunie jak wąż, myślisz, że nie tyka lodu.... Wtem wpada na boisko drużyna polska — oklaski witają biało-czerwonych; oślepli od jarzących się reflektorów, krążą jak żbiki. Za chwilę prężą się na środku boiska obie drużyny, obydwie zwrócone w stronę loży reprezentacyjnej, by wysłuchać hymnów swoich narodów, stojąc na baczność. I wnet sędzia daje znak do rozpoczęcia gry. Już w pierwszych minutach widać, że nasi ogromnie speszeni, ataki się nie kleją, obrona dużo przepuszcza. Przykro się robi człowiekowi, niestety Pepiki grają lepiej. „Coś wisi w powietrzu", publiczność stanowczo niewyrobiona sportowo, nie umie pobudzić do walki; nad ogromnym stadjonem zaciążyło widmo naszej przegranej. W chwilę świetny Malecek prowadzi swoich do ataku. Biedny nasz „Stoga" uwija się w bramce wśród kanonady nieustannych strzałów.

Pierwsza tercja mija bezbramkowo, lecz w drugiej przyszło nieszczęście; Malecek ściągnął na siebie polską obronę i podał nieobstawionemu partnerowi, a ten błyskawicznie umieścił krążek w naszej siatce...

Od tej chwili sypią się goale jak z rogu obfitości....

— — — — — — — — — — — —

Tym razem znów na meczu z Czechami, ale już na finałowym i do tego na trybunie stojącej. (Należy rozumieć, że rozchodzi się w tej nazwie nie o trybunę, lecz o tych, którzy na niej stoją). Obrałem sobie locum obok pewnego pana w okularach, a przed jakimś „wyrostkiem robaczkowym", który, jak się później przekonałem, w chwili szczególniejszych emocyj, strzykał sobie śliną przez zęby z wdziękiem i pewnością nieporównaną. Mecz należał do rzędu najważniejszych i decydował o zdobyciu mistrzostwa Europy na rzecz drużyny naszej lub czeskiej; w razie nierozegranej mistrzami mieli zostać Austrjacy. Ten ostatni motyw powodował widocznie panem w okularach, gdyż wygłosił sentencję (przez nikogo niepytany):

— Gdzie się dwóch kłóci, tam trzeci pomłóci...

Gra się tymczasem na dobre rozpoczęła; Polacy grali o klasę lepiej, niż na poprzednim meczu z Czechami, ci ostatni natomiast o klasę.... gorzej. Jużto ktoś dobrze powiedział, że drużyna gra, jak jej na to pozwala przeciwnik, dość, że nasi grali świetnie i często atakowali. Wnet podniosły się dookoła takie wrzaski roznamiętnionych widzów, że się ponoć sam mikrofon P. Radja, choć do gorszych przyzwyczajony słuchowisk, wzdrygał. W pewnym momencie Tupalski znalazł się sam na sam z czeskim bramkarzem — oczywisty pech kazał się mu przewrócić.... W tej właśnie chwili... dostałem zwiększoną porcję śliny za kołnierz. Wobec tak smutnego stanu rzeczy, położyłem sobie na głowie chusteczkę do nosa... (spluwaczki w pobliżu nie było). Lecz sytuacje na boisku zmieniają się jak w kalejdoskopie; Malecek podbija brzydko nogę Krygierowi i sam się wywraca....

— Nie pchaj palca, gdzie ci nie miło i nie wchodź drugiemu między drzwi!— wygłasza z przekonaniem człowiek w fordowskich okularach, ślinę poczułem tym razem na ręce — widocznie instytacja chusteczki do nosa nie odpowiadała memu nad-lokatorowi. — Mecz dobiegał końca... Za chwilę głos z megafonu obwieścił wszem: „Wobec nierozstrzygniętego spotkania Polska—Czechosłowacja, mistrzem Europy zostaje Austrja, wicemistrzem Polska!"

Te-ka.



Kącik literacki.

„Popioły" Stefana Żeromskiego po włosku.

Odzyskanie wolności politycznej ma dla nas wielkie korzyści na terenie międzynarodowym. Zaczyna się budzić zainteresowanie do naszej kultury, do wytworów polskiego ducha. Cudzoziemcy zaczynają nieco łaskawszem okiem patrzeć na dzieła naszych powieścio pisarzy. Niektórzy z zagranicznych tłumaczy z całem zamiłowaniem oddają się studjom, aby tylko nic nie uronić z piękności danego utworu.

Ile to trudów i pracy włożyły dwie włoszki p. dr. Agosti i p. C. Garosci, przekładając na język włoski „Popioły" Żeromskiego! Najpierw przełożono nowelki, potem przez dwa lata sumiennie pracowano nad tłumaczeniem „Popiołów". Przyjechały te panie na specjalny kurs języka polskiego do Zakopanego, zasięgały informacji od lingwistów, szukały odpowiednich wyrazów po różnych słownikach i dziełach, traktujących o wojskowości.

Najwięcej wysiłku kosztowały obrazy przyrody, wezbrane po brzegi liryzmem i wyrażone z całym przepychem poetyckiego języka. — Oby więcej takich przekładów!

Skąd się wzięło nasze mazurzenie?

Przed wojną światową powstał spór pomiędzy polskimi językoznawcami, gdzie jest kolebka polskiego języka literackiego. Zagadnienie to wywołało nawet chwilowo bardzo namiętne polemiki, Jedni utrzymywali, że genezy języka literackiego należy szukać w Wielkopolsce, ponieważ tutaj ludzie nie mazurzą t.zn. mówią: czas, szyja, życie, a nie: cas, syja, zycie. Inni znowu ten zaszczyt chcieli dać Małopolsce, a względnie stolicy krakowskiej. Trudno im tylko było wyjaśnić, dlaczego w języku literackim nie spotykamy się z mazurzeniem, wszak przecież w okolicy Krakowa ludzie mazurzą. Niedawno prof. Lehr. Spławiński wykazał, że język połabski, który utrzymał się do 18 wieku, również miał tę cechę gwarową, jak język ludzi z Małopolski. Uczony ten stwierdził jednak, że mazurzenie w języku połabskim zjawiło się spontanicznie w 16 wieku.

A może taksamo było i z gwarą tzw. Mazurów? Ten pogląd o ile okaże się prawdziwym, świadczyłby za małopolskiem pochodzeniem języka literackiego!

Rozrywki umysłowe.

Zagadka (szarada) wstążkowa

(ul. Es-An — Gimn. I).

1	x		
2		x	
3			x
4		x	
5	x		
6		x	
7			x
8		x	
9	x		
10		x	
11			x

Znaczenie wyrazów:

1. Imię męskie
2. Inaczej cios
3. Ptak śpiewający
4. Patyk inaczej
5. Owad
6. Organ wzroku
7. Inaczej maź
8. Część doby
9. Duchowny prawosławny
10. Inaczej narty
11. Zaimek osobowy

Rozwiązanie da epitet jednego z naszych współkolegów.

Wizytówki.

P. F. Erroso

St. Z. Uranjo

Fr. Soze

Jaki jest zawód tych panów?

WESOŁY KĄCIK.

Sekwestrator.

— Proszę pana, jakiś gość czeka w salonie.

— To podaj mu krzesło, niech poczeka!

— Kiedy, proszę pana, on chce zabrać wszystkie krzesła!...

Dział oficjalny

dwutygodnika młodzieży „Lot“ w Nowym Sączu.

Dnia 23. II 1931 odbyło się zebranie Komitetu Redakcyjnego. Po omówieniu spraw administracyjnych i odczytaniu artykułów, załatwiona została sprawa wysyłki do Jasła. Mianowicie otwarta została w Jaśle filja, za której pośrednictwem dostarczać będziemy naszym tamtejszym prenumeratorom 142 egzempl. „Lotu“.

Filja zajmie się także wysyłką materjału redakcyjnego.

Cena numeru pojedynczego 25 gr
Prenumerata: kwartalnie . 1·80 zł
SKRYTKA POCZT. Nr. 127.

Adres Redakcji i Administracji:
Nowy Sącz, ul. Jagiellońska, Gimn. II.
Rękopisów nie zwraca się.

Redaktor odpowiedzialny: Prof. **Bolesław Nytko.**
Komitet redakcyjny uczennic i uczniów szkół średnich w Nowym Sączu
Drukarnia A. Mółka — Nowy Sącz, Pijarska 15.